

SZIKA KACIR
ur. 1915; Ostróg nad Horyniem (powiat
Zdołbunów, woj. wołyńskie)



Tytuł fragmentu relacji	Dzielnica żydowska na Podzamczu
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dzielnica żydowska na Podzamczu, Lublin przed wybuchem II wojny światowej, Krawiecka 41, hahszara

Dzielnica żydowska na Podzamczu

W dzielnicy żydowskiej było bardzo biednie, brudno, gęsto i nie mam dobrych wspomnień o tym miejscu. Tam płynęła rzeka i zawsze było zielono od trawy. Ta trawa to zawsze była zielona, ale nie od tego, że było czysto, ale od tego, że brudna woda wylewana była tam i od tego rosły te trawy. Nie pamiętam niczego z ulicy Krawieckiej oprócz tego domu nr 41, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Wiem, że żadnego sklepu nie było na ulicy Krawieckiej. Ani jednego sklepu. Ani szkoły tam nie pamiętam. Szliśmy do ulicy Szerokiej - tam były sklepy, no i były sklepy na ulicy Lubartowskiej. Wszystkie sklepy były żydowskie [...]. Tam kupowaliśmy chleb i wszystko inne do jedzenia, ale nie mieliśmy pieniędzy, żeby coś więcej kupić. Wśród Polaków przed wojną nie miałem żadnych przyjaciół, nie spotkałem żadnego. Ponieważ nie uczyłem się w Lublinie, to nie miałem żadnych kolegów znających ze szkoły. Ja przyjechałem do Lublina w [19]35 roku, ale już trzy lata wcześniej tam byli moi koledzy z innych miasteczek. Myśmy mieszkali w budynku pana Krasuckiego, przy Krawieckiej 41. Był to budynek trzypiętrowy: parter i dwa piętra. Ja nie znałem prawie nikogo tam, nie pamiętam ani jednego imienia mieszkańców stamtąd - myśmy nie mieli z nimi żadnych kontaktów. Po lewej stronie budynku, na parterze mieszkali różni lokatorzy, a my też ich nie znamy, nie mieliśmy żadnych kontaktów z nimi, może z jednym, który był odpowiedzialny za czystość. Nam dali pierwsze i drugie piętro. Na pierwsze piętro trzeba było wejść na górę schodami z drewna i tak samo z drugiego na trzecie piętro - schodkami drewnianymi. Na drugim piętrze była jedna sala, która nam służyła jako jadalnia, kuchnia i łazienka. Wody w rurach, kranach nie było wcale. Trzeba było wodę przynieść kubłami z ulicy Szerokiej czy Lubartowskiej, gdzie były wszystkie sklepy wielkie. Na Lubartowskiej i na Szerokiej były sklepy żydowskie, a na ulicy Krawieckiej nie było ani jednego sklepu, tylko małe czy większe budynki, gdzie, mieszkała najbiedniejsza część ludności żydowskiej w Lublinie, najbiedniejsi, najnudniejsi, którzy prawie nie mieli żadnych dochodów, oprócz tego, że Gmina Żydowska im coś pomagała. Mieszkali w tym. Ja, z okna mego na drugim piętrze, jak patrzyłem na drugą część budynku, to widziałem tam, że w każdym jednym pokoju mieszkały dwie albo trzy rodziny razem. Nie wiem jak oni mogli spać, jak mogli żyć tam. Myśmy pochodzili z zamożnych domów żydowskich, nie bogatych i nie biednych. Najpierw w [19]32 roku i [19]33 byliśmy w Chełmie, 60 kilometrów od Lublina, tam też była achszara, to znaczy miejsce przygotowania, ale nie było dużo pracy. Chełm to miasteczko niewielkie i właściwie

głodowali tam. [W 1935 r.] przyjechaliśmy do Lublina, dostaliśmy ten budynek na Krawieckiej, te dwa piętra i dostaliśmy pracę od bogatszych członków organizacji syjonistycznej, między innymi – od pana Krasuckiego i innych. Miejsca pracy naszej były takie: przeważnie dla chłopców była praca w tartaku – piłowanie drewna, rąbanie siekierami, żeby opalić te piekarnie. Piekarnie żydowskie wzięły nas do pracy, bo tam praca nie była zorganizowana przez związki. Mogliśmy tam pracować, ale oni płacili nam bardzo mało: nie więcej niż dwa złote za osiem godzin pracy. Z tego bardzo trudno było się utrzymać, mogliśmy tylko kupić ziemniaki i chleb, masło – bardzo mało, mięso mieliśmy raz albo dwa razy na tydzień, w sobotę – też niedużo. I z tego musieliśmy się wyżywić. Albo przeważnie nie dawali nami pieniędzy wcale, tylko chleb otrzymaliśmy od nich. To znaczy oni wyzyskiwali nas, dawali niedużo chlebów i myśmy pracowali ciężko tam. Od czasu do czasu otrzymaliśmy jakąś od Gminy pomoc, ale bardzo małą. Myśmy nie chcieli być zależni od nikogo, tylko od tego, co my pracujemy i z tego musieliśmy żyć. Oprócz tego pracowaliśmy na stacji kolejowej w Lublinie, gdzie ładowaliśmy mąkę do wagonów, albo rozładowywaliśmy z wagonów na stację. Pracowaliśmy też w miejscach gdzie pakowali i sortowali len, z którego robiło się płótno. To też u Krasuckiego - miał takie miejsce pracy. Pracowały tam przeważnie dziewczęta razem z innymi robotnicami z Lublina. Praca była tam tak zorganizowana, że pracownicy siedzieli na ziemi i ten len był około nich. Oni mieli go sortować i chłopcy to pakowali w bale. Każdy bal miał trzydzieści albo dwadzieścia pięć kilogramów i później niosąc to na naszych ramionach szliśmy z tym do miejsca gdzie trzeba było to położyć w składach. To była bardzo ciężka praca, ale z czasem myśmy się do tej pracy przyzwyczaili. Ja pracowałem nawet w międzyczasie jako nauczyciel języka hebrajskiego, bo płacili dobrze. Pracowałem w fabryce jako ślusarz, bo mój ojciec był ślusarzem. Znałem tę pracę też. Płacili dobrze. Pracowałem na składach budownictwa, to znaczy: drzewo układałem w składach. Większość naszych ludzi pracowała w tym. Ten budynek dostaliśmy od pana Krasuckiego bezpłatnie. Nie płaciliśmy za mieszkania tam. Nie wiem czy inni płacili. Ten budynek należał do Gminy. Gmina od nas nie żądała pieniędzy. Ja wiem, że do końca września, to znaczy do początku II wojny światowej to jeszcze niektórzy zostali tam. Prawie wszyscy moi koledzy wyjechali do Palestyny nielegalnie, ja też, ale ci którzy zostali tam, to zostali zabici przez Niemców. Jak ja wyjechałem w [19]38 roku, to Gmina chciała to zburzyć ale myśmy się sprzeciwiali, bo nie mieliśmy innego miejsca. Nie pamiętam już czy myśmy szli razem z mieszkańcami tego domu do prezydenta miasta, żeby odroczyć rozbiórkę... Nie pamiętam, czy kiedyś sanitarna komisja przyszła do tego domu. Nikt nie chciał tam wejść. Było tak brudno i ciasno, że w ogóle nikt nie chciał patrzeć na to. Nie mieliśmy żadnych stosunków z mieszkańcami, tylko jeden raz... jeden raz mieliśmy jakąś styczność z nimi. Bo myśmy mieli z lewej i z prawej te nasze dwie sale, mieszkaliśmy tam i była tam kuchnia i jadalnia, ale nie mieliśmy gdzie prac. To z drugiej strony tam była piwnica taka bez okien, bez drzwi. W tej piwnicy, myśmy tam wyczyściliśmy wszystko, wyrzuciliśmy wszystko co było przedtem i urządziliśmy tam tak, żebyśmy mogli tam prac. Tam praliśmy i ci sąsiedzi biedni stali w kolejce, przy naszej pralni, żeby wziąć tą wodę brudną naszą, po naszym praniu, ponieważ ta woda miała mydło. Oni brali od nas tę wodę. Ale jeden raz przyszli inni ludzie, też biedni i chcieli wyrzucić nas z tej pralni, bo tam dwie rodziny chciały mieszkać tam w tej piwnicy. A myśmy wszyscy byli przeciw i walczyliśmy z nimi. Zaraz przyszła policja i powiedziała, że oni nie mają racji nasz wyrzucić stamtąd. To było jedno, co myśmy z nimi mieli. Ja pamiętam, że kiedy ktoś umarł, z tych co mieszkali, to oni wzięli go tak na jakieś łóżko, położyli go przy bramie, przy wejściu do bramy i przykryli go gazetami, póki nie przyszli z Gminy zabrać go. W tym budynku mieściła się Ochronka Związku Kobiet Żydowskich. Nie pamiętam tego dobrze, ale wiem że jedną z tych kobiet w tym związku była Bela Dobrzyńska. Ona pochodziła z bogatszej rodziny syjonistów lubelskich. Ona miała córkę w moim wieku, która była studentką na uniwersytecie, pamiętam że ona była dość ładna. Ja byłem jej nauczycielem języka hebrajskiego, bo jej mąż już był w

Palestynie, ona też miała pojechać tam. Dlatego ja byłem jej nauczycielem i dwa czy trzy razy na tydzień chodziłem do nich uczyć hebrajskiego. Ja pamiętam, że oni byli dość bogaci, a my w naszej achszara na Krawieckiej 41 nie jedliśmy dużo i zawsze byłem głodny i oni zawsze chcieli zaprosić mnie na obiad. Ja nigdy nie zgodziłem się jeść tam, bo wiedziałem, że moi koledzy z achszara zostają w domu i nie chciałem jeść. Jak było bardzo, bardzo zimno to prosili, żebym przynajmniej szklankę herbaty wypić, to piłem tę herbatę z nimi. Mieliśmy sypialnię na drugim piętrze, połowę tej sypialni byli chłopcy, połowę dziewczynki. Nie było dość miejsca dla wszystkich, nie było łóżek dla wszystkich ani materaców. To myśmy spali we dwóch chłopców razem w jednym łóżku i to samo dwie dziewczynki w jednym. A to też nie wystarczyło, to zrobiliśmy tak, że było jeszcze jedno łóżko nad drugim. W ten sposób można było tam wszystkich nas – osiemdziesięciu ludziom dać miejsca do spania. Myśmy trzymali czystość, ale ci inni ludzie, co mieszkali tam, bardzo, bardzo biedni, u nich było bardzo brzydko, bardzo brudno i nie wiem jak oni mogli tam żyć... Oni mówili: „wy to mieszkacie w pałacach”, a myśmy mówili: „myśmy to zrobili sami, wy też możecie zrobić tak ja my”.

Data i miejsce nagrania	2004-08-11, Yad Mordechaj (Izrael)
Rozmawiał/a	Aliza Salomon
Transkrypcja	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"